

RAPERKA ŚPIEWA ROTE

Wywiad z **Lilu**, aktorką zespołu Impro Atak, raperką, wokalistką biorącą udział w projekcie "Panny wyklęte". Rozmawia Piotr Grobliński.

Wydajesz płyty w wytwórni PAL6. To znane wydawnictwo?

Moje własne, musiałam je zresztą zawiesić. Nie miałam czasu na tę całą papierkową robotę. Więc przy następnym materiale wrócę do korzeni i wydam go u kogoś znajomego. Na razie nie chcę mówić hop, bo jeszcze do tego daleko.

A powiesz jeszcze hip? Czy już koniec z tym gatunkiem?

Hip już powiedziałam i chyba postawiłam kropkę. A może średnik? Nawet chciałam sobie wytatuować średnik na znak, że nie chcę się zarzekać, deklarować, że na pewno już nigdy. Myślę jednak, że nie zrobię już całej płyty rapowej. Przyznam szczerze, że po zetknięciu z publicznością teatralną i po koncertach Panien Wyklętych widzę różnicę – publiczność hip-hopowa, co jest też naszą winą, nie dorosła razem z nami, to nadal jest muzyka dla nastolatków. W Polsce nie ma miejsca dla rapu trochę wyższych lotów, czyli na bardziej inteligentną, poetycką stronę tej muzyki.

Inaczej jest na świecie?

Oczywiście. W Polsce zresztą też jest kilku wykonawców z pogranicza poezji, na przykład Łona – moim zdaniem następcą Kabaretu Starszych Panów. Ten nurt jest jednak bardzo niszowy.

Dominują przekleństwa, osiedlowe klimaty i dziecinne przechwałki...

Po pierwsze: hip-hop już dawno nie mówi o problemach osiedla. Po drugie: to jeden z najtrudniejszych nurtów muzycznych, w którym ma się tylko słowo i rytm, nie można niczego przykryć melodią. Łatwiej jest napisać zwykłą piosenkę – wiem, co mówię, mam doświadczenia w obu gatunkach. W dobrym rapie są takie niuanse słowne i rytmiczne, że prędzej czy później to będzie klasyka omawiana w szkole. Natomiast odbiorca tej muzyki jest bardzo niewdzięcznym partnerem dla wykonawcy. Mówię to z perspektywy lat, kiedy grałam koncerty – grałam po knajpach, dla pijanych ludzi, późną nocą. Takie rozrywki też są potrzebne, ale w porównaniu z teatrem to jednak jest różnica. Poza tym rap jest bardzo mocno osadzony w Internecie, gdzie anonimowość pozwala na wiele. A co do przekleństw: uwielbiam soczystość polskich przekleństw, bo lepiej sobie przekląć niż komuś przywalić. Błuzgi spuszczają trochę powietrza z tego balonu jadu i złości. Ale artysta musi mówić o różnych rzeczach w sposób, w jaki nikt inny nie potrafi. Każdy potrafi powiedzieć „K... mać”, chodzi jednak o to, by o swojej złości opowiedzieć w sposób niezwykle.

Tak sobie ładnie rozmawiamy, ale kto mi właściwie odpowiada: Lilu czy Aleksandra Agaciak?

Aleksandra „Lilu” Agaciak – tak staram się teraz przedstawiać w wywiadach. Ale Lilu jest prościej, tak wszyscy na mnie mówią.

To jak Piotr „Liroy” Marzec. Raperzy nie mogą występować pod nazwiskiem?

Pseudonimy, albo lepiej ksywki, to uroczą pozostałość z lat młodości, kiedy byliśmy młodymi, gniewnymi hip-hopowcami. Oczywiście można rapować pod nazwiskiem – znam takich artystów. Poza tym w Internecie można sobie łatwo znaleźć czyjeś dane.

TO ZACZNIJMY JESZCZE RAZ, PORZĄDNIE

Piotr Grobliński: Skoro występujesz pod tym samym pseudonimem na koncertach rapowych i w zespole Impro Atak, to znaczy, że tych aktywności nie rozdzielasz?

Aleksandra „Lilu” Agaciak: Nie zastanawiam się nad tym, co mi się bardziej opłaca, jak to rozdzielić czy połączyć. Ta moja ksywka to dowód, że życie zawodowe wymieszało mi się z prywatnym. Moi współpracownicy to bliscy mi ludzie – pracuję z przyjaciółmi, którzy wiedzą o mnie wszystko. W gruncie rzeczy bardzo się z tego cieszę.

A tak procentowo - ile jest w tobie aktorki, a ile raperki?

Kolejna rzecz, którą chciałam sobie wytatuować, to sinusoida. To wszystko faluje. Tak naprawdę nie ma wyraźnych granic między muzyką, improwizacją, teatrem. W teatrze śpiewamy, w muzyce improwizujemy. Ostatnio próbuję to wszystko jakoś uporządkować.

Jakie są twoje związki z aktorstwem?

Jestem po prywatnej szkole aktorskiej, bo gdy wymyśliłam, co chcę w życiu robić, na zdawanie do szkół państwowych było już za późno. Niestety, tak to u nas działa, a przecież można odkryć w sobie jakiś talent czy potrzebę trochę później. Ja odkryłam i staram się je realizować. Gram w Impro Ataku, występuję też w serialu, czekam na kolejne propozycje.

Jaka to była szkoła?

Akademia Humanistyczno-Ekonomiczna, wypuściła tylko trzy roczniki. Ja trafiłam na cudownych ludzi, większość mojej grupy dostała się później do szkół państwowych. To byli ludzie zaraz po maturze, więc żartom na temat mojego wieku nie było końca. Siedzieliśmy w szkole od 8 do 20, a potem szliśmy do mnie na piwo, by dalej przegadywać teksty. Chęć pracy była niesamowita.

I co z tej chęci wynikło?

Zagraliśmy dyplom, zresztą w Łódzkim Domu Kultury. Niestety, tylko raz. Szkół prywatnych (zresztą podobnie jak lalkarskich) nie zaprasza się na Festiwal Szkół. A szkoda. Mógłby przecież być tydzień poświęcony szkołom państwowym (miałby większy prestiż) i tydzień dla szkół prywatnych. Tam też są talenty. Wydarzenia kulturalne powinno się rozbudowywać, a nie ograniczać. Przecież Łódź jest miastem otwartym, nigdy nie mieliśmy patrzącej na innych z góry bohemy jak w Krakowie.

A skąd się wzięłaś w zespole Impro Atak?

To ciekawa historia, przy czym ja ją pamiętam inaczej i Jacek Stefanik, czyli nasz lider, pamięta ją inaczej. Z Jackiem znamy się od wielu lat, kiedyś poznaliśmy się na imprezie u znajomego – tak dobrze naśladował język chorwacki, że przez lata miałam go w telefonie jako „Chorwata”. Potem wspólnie jeździliśmy na rowerach i kiedyś zaczął narzekać, że już nie ma siły dojeżdżać do Warszawy, gdzie grał w zespole impro. Trochę mi o tym opowiadał, ale mnie to raczej kojarzyło się z Grotowskim.

Czyli dobrze czy źle?

Zupełnie nie moja bajka. Kiedyś z koleżanką, która przyjechała na warsztaty Chorei, żartowałyśmy sobie z siebie nawzajem: ja do niej mówiłam „Pani Grotowska”, a ona do mnie „Pani Brecht”.

I co Pani Brecht poradziła narzekającemu Jackowi?

Żeby założył grupę impro w Łodzi. Niby nie chciał być szefem, ale za jakiś czas zadzwonił z pytaniem, czy bym w tej grupie zagrała. Oczywiście powiedziałam, że nie. Ale Jacek przyszedł do mnie do domu (moja kuchnia to taki mały SPATiF – wszyscy tu wpadają, bo mieszkam w samym centrum) i pokazał mi grę „Podwójny dubbing”. Zagraliśmy kilka zdań i mnie to porwało. Miałam przyływ ekstazy twórczej jak przy pisaniu piosenek.

Pierwsze próby...

Odbyły się w parku 3 Maja, jeszcze w innym składzie. Potem doszliśmy do wniosku, że grupa powinna się składać z ludzi z wykształceniem aktorskim. Żeby to nie był kabaret, żeby impro zakorzenił w teatrze. Jeżeli pada pytanie, czy impro jest bliżej kabaretu, czy teatru, to odpowiadam, że to raczej kabaret jest bliżej teatru, bo w obu przypadkach mamy scenariusz.

Ale to pytanie nie padnie. Zapytam za to: czy kabaret źle wam się kojarzy?

Niekoniecznie, na przykład pan Andrzej Poniedziałki - mam nadzieję, że się nie obrazi, że łączę go z kabaretem - jest wspaniały. Uwielbiam go jako poetę, wokalistę (może lepiej powiedzieć - barda). Gdy miałam 9 lat, śpiewałam w Poczekalni „Pamiętasz, była jesień”. Śpiewałam, siedząc mu na kolanach na jakimś nieoficjalnym spotkaniu. Siedzieliśmy przy stoliku z moimi rodzicami, panią Elą Adamiak i innymi przyjaciółmi ówczesnej Poczekalni.

W 2014 roku zaczęliście występować w Nowym - też była jesień.

Jacek zaproponował to Zdzisławowi i ten się zgodził, aczkolwiek niechętnie (mówię Zdzisław, bo śp. Zdzisław Jaskuła był moim kumplem, przychodził na moje hip-hopowe koncerty). Na początku nie był jakimś wielkim zwolennikiem impro, ale się przekonał. Może przekonała go Sława Lisiecka, która podobno oszalała na naszym punkcie. Pierwszy raz zagraliśmy 2 listopada, trochę się obawiając, czy ktoś tego dnia przyjdzie. Ale sala była pełna. W dodatku pewna dziewczyna, która przyjechała na Wszystkich Świętych do Łodzi z Barcelony, zabrała na przedstawienie swojego ojca. Nawet się cieszył, że zabrakło miejsc siedzących, bo mógł w razie czego wyjść zapalić. Ale nawet nie zauważył, jak minęło 1,5 godziny. Tym ojcem okazał się Mirosław Kuliś, wydawca „Angory”, który został naszym mecenasem.

Na czym na co dzień polega wasza praca, jak się przygotowujecie do spektaklu? Ćwiczycie jakieś schematy?

Nie, to nie na tym polega, to jest raczej gimnastyka umysłu. Jakbyśmy chodzili na siłownię dla szarych komórek. Dorośli ludzie ganiają się w skarpetkach po foyer, bawią się jak przedszkolaki - ale to są wszystko ćwiczenia umysłu. Mamy różnego rodzaju wyliczanki, np. „cho no” - stoi się w kółku i wzrokiem wywołuje się partnera. On woła do nas „cho no” i idziemy na jego miejsce, a on musi znaleźć kogoś kolejnego. To istotne, że zwracamy się do konkretnej osoby - podczas przedstawienia to pomaga, bo wiemy, kto ma odpowiedzieć. Jeśli przy braku scenariusza odpowiedziałyby cztery osoby naraz, powstałaby kakofonia. Takich gier ćwiczeniowych jest bardzo dużo.

Skąd je bierzecie? Jest jakiś podręcznik?

Bardzo wiele przekazał nam Jacek, który poznał je w poprzedniej grupie. Mamy też w zespole Kasię Chmarę, która jest żywą encyklopedią impro. Ciągłe jeździ na jakieś warsztaty, ciągle przywozi nowe pomysły. Są też książki o impro, oczywiście po angielsku. W Stanach ta forma ma już kilkadziesiąt lat.

Aktorzy z teatrów dramatycznych mają swoje nagrody, pisma, festiwale. W Polsce jest kilkadziesiąt zespołów impro - czy tworzą jakieś środowisko?

Są niewielkie festiwale połączone z warsztatami. Marzy mi się zorganizowanie w Łodzi dużego festiwalu impro, ale ciągle brakuje czasu, by się za to zabrać.

Pisze ktoś recenzje waszych występów?

Oczywiście, i to same przychylnie. Niestety pełne błędów - ta forma teatru nie jest jeszcze zakorzeniona w świadomości widzów. Recenzenci myślą nazwy gier, nie wiedzą, na czym one polegają. Z kolei zaprzyjaźnieni aktorzy po przedstawieniach mówią: fajne, ale na pewno macie to powymyślane, nas nie oszukacie.

Może nie tyle powymyślane, co oparte na opracowanych schematach. Na przykład te „Style filmowe i teatralne” - publiczność na pewno podrzuci za każdym razem mniej więcej to samo, więc chyba ćwiczcie np. operę?

Staramy się różnicować zadawane style, wybieramy te, które się nie powtarzają albo sugerujemy publiczności, by podrzuciła coś innego, bo operę już graliśmy. Ćwiczmy śpiew w ogóle, a nie śpiew operowy - staramy się po prostu utrzymywać sprawność wokalną.

W końcu jednak zawsze gracie coś podobnego - nie znudzi się wam?

Krótkich form jest 200-250, więc rzeczywiście się powtarzają. Dlatego staramy się też grać inne rzeczy, np. „Harolda” - spektakl, w którym na podstawie jednego słowa rozwijamy całą fabułę. Ma ona pewien schemat, ale co będzie się działo w poszczególnych scenach - tego nie wiemy. Gramy też musicale, staramy się cały czas rozwijać.

A co gdy publiczność podpowiada coś głupiego? Udajecie, że nie słyszycie?

Staramy się przekonać ludzi, że ciekawiej będzie, jeśli wyślą nas do wnętrza damskiej torebki (autentyczny przykład ze spektaklu) niż do kibla (powtarzające się życzenie publiczności). Bo co zabawnego może się tam wydarzyć? Staramy się ten kibel ludziom wyperswadować, podobnie jak cmentarz czy politykę. Ale jeśli się uprą, to gramy też scenę na cmentarzu.

Wam też może się czasem coś nie udać, na przykład ktoś ma zrymować czwarty wers piosenki i nie przychodzi mu nic sensownego do głowy.

Wtedy próbuje jakoś wybrnąć, czasami nieporadnie. Ale mamy prawo do nieporadności - taka konwencja i widzowie to rozumieją. Wtedy śmiejemy się z samych siebie.

Wróćmy na koniec do Panien Wyklętych - projektu, do którego zaprosił cię Darek Malejonek. Wciąż nagrywacie nowe płyty...

Wciąż i wciąż! Okazuje się, że historia Polski to studnia bez dna. Studnia pełna niezwykłych, wzruszających i dramatycznych historii i postaci. Były "Panny Morowe" o dziewczynach, które na różne sposoby uczestniczyły w Powstaniu Warszawskim, "Panny Wyklęte" - o kobietach żołnierzach i kobietach żołnierzy wyklętych, "Wygwane" o emigrantkach, uciekinierkach i walczących poza granicami Polski, teraz powstają "Panny Shoah" o Polkach ratujących Żydów podczas II wojny światowej... To jeden z najcudowniejszych projektów muzycznych, w jakich mam zaszczyt brać udział.

Jak się czuje ktoś, kto stoi przed tłumem i śpiewa „Rotę”?

To najpiękniejszy moment w życiu artysty, życzę go wszystkim kolegom po fachu - kiedy doświadczamy uczucia, że robimy to, co kochamy, wychodzi nam to całkiem nieźle, odbiorcy są poruszeni (często do łez), coś się w nich zmienia, a do tego mamy świadomość, że mówimy o czymś ważnym, że jest to coś więcej niż rozrywka, że przemycamy kwestie istotne. Wierzę, że dane dobro wraca do nas i że dążenie do realizacji odpowiedzialności artysty wobec społeczeństwa zamiast przysłowiowej "kromki chleba" może czasem spowodować, że i na masło będzie można sobie pozwolić. A nawet jeśli nie, to będziemy otoczeni ludźmi, którzy się swoją ostatnią kromką z nami podzielą.